ORLI LOT

MIESIĘCZNIK
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH
MŁODZIEŻY

ROK XIX
1938
NR. 2

POLSKIE TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE

ORLI LOT

1938 MIESIĘCZNIK NR. 2
ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH
MŁODZIEŻY



Matka Boska Gromniczna, obraz ludowy z ziemi krakowskiej.

Numer ten poświęcony jest pracy uczestniczek Instruktorskiego Obozu Krajoznawczego w Gibach na Suwalszczyźnie.

POWSTANIEC W PUSZCZY AUGUSTOWSKIEJ.

— A jak panienki ciekawe starych historii, to niech idą do Jacka Myszczyńskiego; to starożytny człowiek, on i sześćdziesiąty trzeci rok pamięta — chłopakiem był i listy z obozu do obozu nosił. — Skupione wokół właściciela handelku „kiełbasz i delikateszów" w Głębokim Brodzie, dokąd zawędrowałyśmy w poszukiwaniu krajoznawczych osobliwości, notujemy skwapliwie nazwisko i adres tej miejscowej sławy, o której nasz rozmówca mówi nie bez pewnej chełpliwości.

— Tera go w domie nie najdziecie; w polu jest zwózką zajęty, ale tylko co go nie widać. Oj krzepki to chłop! W zimie, w największy mróz w wodę po pas wchodzi i sieci nastawia.

Postanowienie dojrzewa: zostaniemy w Głębokim Brodzie i zrobimy „wywiad" z Myszczyńskim! — „Komenda" wycieczki krzywi się nieco: — późno, pomęczycie się — już i tak dość pracowicie spędziłyście przedpołudnie, a do Gib osiem kilometrów. Ale dalsze wywody przerywa turkot kół na gościńcu. Wybiegamy. Drogą jedzie wóz naładowany snopami żyta. Na stercie siedzi stary człowiek; twarz poorana zmarszczkami, ale jakoś dziwnie pogodna. Przeczucie mówi, że to on — Myszczyński.

— Gospodarzu! czy można będzie porozmawiać z wami, gdy odpoczniecie po robocie? Chciałyśmy was prosić, byście nam opowiedzieli o powstaniu.

Twarz starego rozbłyska uśmiechem.

— Opowiem, paniutki, opowiem ta i czemu nie — tylko przyjdźcie. A bedziecie zapisywać, bo ja stary zapomnąć wkrótce gotów i nikt już potem tych czasów nie pomni?

Pokazujemy notatki i ołówki, zadowolone, że wreszcie znalazłyśmy rozmówcę, który chce, by jego słowa notować. Zazwyczaj bowiem trzeba to było robić bardzo dyskretnie, by nie budzić podejrzeń.

Za chwilę uradowane nadzieją ciekawego wywiadu idziemy do chaty Myszczyńskiego. Równocześnie ogarnia nas jakieś dziwne wzruszenie, że rozmawiać będziemy z człowiekiem, co pamięta „tamte" czasy. Dla nas to jakaś bohaterska legenda, polskie sny o szpadzie, dla niego rzeczywistość, na którą patrzał własnymi oczyma. W chacie nie zastajemy Jacka; wywędrował z sieciami

nad rzekę. — Ot tam nad łąkami błękitnieje jego czapka, lśni w słońcu daszek ceratowy. Robimy bieg przez miedze i wkrótce otaczamy staruszka.

— Ot myślałem, że już nie przyjdziecie. Poczekajcie — tylko sieci nastawie.

Chcemy mu towarzyszyć, ale stary przeczy głową. Widać kierują nim jakieś przesądy rybackie.

— Ja tu zara wróce.



Rozmowa z Jackiem Myszczyńskim.

Czekamy rzeczywiście niezbyt długo.

— A gdzie chcecie rozmawiać w domie, na polu?

— Najlepiej tutaj, dziadku!

Siadamy wokół niego na murawie; przed nami mała łączka ujęta w półkole starych olch i dębów. Promienie słońca igrają w liściach drzew, rozbłyskują tysiącem barw na wilgotnych źdźbłach twarzy. Jest cicho. W dole tylko szumi Czarna Hańcza.

— Oj dawne to czasy, paniutki, chłopakiem wtedy byłem, kiedy to powstanie wybuchło. Jak dziś pomnę — na zapust to było...

I snuje przed nami Myszczyński długą z przed laty opowieść. Mówi barwnie, z przejęciem, od czasu do czasu przystanie, zastanowi się:

— bo to człek już stary, to i spomnąć czasem trudno, a zmylić was nie chcę.

Rozprószone, oderwane obrazy porządkujemy w myślach i układamy w nich dzieje walk, co się w tych lasach rozegrały. Inicjatorką ruchu zbrojnego na Suwalszczyźnie była szlachta. Stary Myszczyński wspomina nadleśnego Wasilewskiego i leśnika Rożańskiego. Ci na długo przed wybuchem powstania ludzi u siebie zbierali: ale gdy przyszło do walki, sami bezpośrednio udziału w niej nie wzięli. Wiadomo: urzędnikami rosyjskimi byli, a „na

czyim wózku jedziesz, temu i pieśnia śpiewasz“ — jak mówi stary Jacek. Chociaż jednak pozornie trzymali się zdala od powstania, przecież sercem w nim tkwili. Wasilewski wszystkie pieniądze z kasy nadleśnictwa dał oddziałom, a sam pokaleczył się i poszedł ze skargą do Sejn, że go powstańcy napadli i kasę zrabowali. Oddziałami powstańczymi w tych stronach dowodził Józef Griguć — wuj Jacka — chłop rodem. „Bunt“ swój odpłacił więzieniem i katorgą, ale najsroższe kary nie wydobyły z ust jego ani jednego zeznania; ani jednego nie zdradził nazwiska.

Żyje on dotąd w Brożanem i sławy zażywa wśród swoich. Rząd polski dał mu rangę oficera i pensję co miesiąc wypłaca, a sam Marszałek Piłsudski krzyżem go udekorował i ucałował serdecznie, o czym już Jacek nie może mówić bez wzruszenia. Widziałyśmy staruszka, a nawet rozmawiałyśmy z nim dłużej. Ale Józef Griguć setki lat już dochodzi i wiele, wiele zapomniał, a przy tym trudno go zrozumieć. Jest jednak dumą okolicy, w której echa powstania utrzymują się żywo wśród ludu.

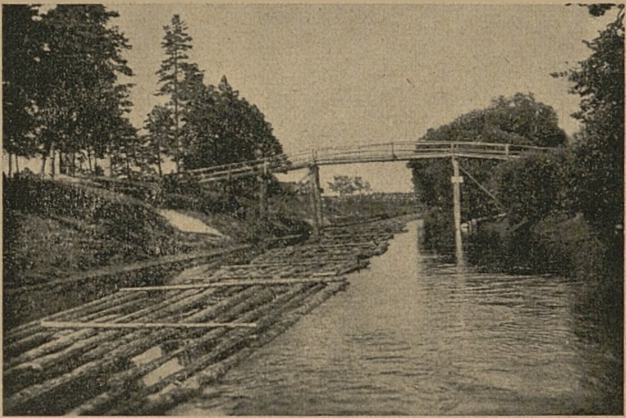
Do powstania szli starsi, ale „więcej młode“, szli „pany dworskie“, księża (szczególnie serdecznie wspomina Jacek ks. Olszewskiego), chłopi — szli Polacy, Żydzi, Litwini, bo tu „kuždy pragnął Polszczy, jak dusza zbawienia“. Lud wiejski sercem całym sprzyjał powstańcom i choć rząd wyznaczał „nagrody“, nikt słowem nie zdradził „buntowszczyków“. Przeciwnie — służono im, czym się dało. Jacek Myszczyński jako chłopak nieraz przekradał się do obozów z kobiałkami żywności. Zdarzyło się niekiedy, że go w drodze zatrzymał „Ruski“ i spytał:

— Kuda id'esz maluszka?

Ale rezolutny chłopak odrzucał:

— Baćce kuszać niose — i ruszał dalej.

Dowożono też żywność w większej ilości wozami. Ale czyniono to tylko nocą; koła wozów omotywano płachtami, by nie turkotały zbytnio, na wierzch rzucano siano, konopie i tak się przekradano. Trzy były główne obozowiska powstańcze w lasach augustowskich: koło Frącek, Brożanego i Suchego Bagna. Każde z nich skupiało około 200 powstańców. Jacek lubił do nich się przekradać, wieści przynosić, bo wesoło tu było, choć śmierć czyhała na każdym kroku. Młodzi byli, zapał ich ponosił, to też obozy rozbrzmiewały niejednokronie śmiechem i śpiewami. Mieszkali w namiotach „pod pałatkami na kołaczkach“, ale ciepło to tu nie było. Nieraz woda naciekła, bo nad rzeką najchętniej obóz rozwijali. Najgorzej było z uzbrojeniem. Większość jako jedyną broń miała kosy i to zarówno chłopi jak panowie; zdarzyły się



Kanał Augustowski.

i flinty, fuzyjki, ale bardzo prymitywne. Nieraz dwa i trzy razy trzeba było patrzeć, by się proch od krzesiwka zapalił. Co jednak utkwiło staremu rybakowi najgłębiej w pamięci z tych obserwacji obozowego życia powstańców to — równość.

— Chłop z panem zarówno tam byli, jak brat z bratem. Różnice byli tylko po czynie.

Przerywa Jacek na chwilę swe opowiadanie i nastaje cisza. Wiele, wiele z tych rzeczy, o których wspominał, znane nam było z książek, z nauki szkolnej, a jednak... jak inaczej się tego słucha z ust człowieka, co patrzył na wszystko własnymi oczami.

— Oj dawne to czasy, a przecia, jak człowiek spomni, to ta jak dziś. Po wielaż to razy widziało sie ich, jak tam z tego lasu, z drugiego brega wychodzili i tu w tej rzece myli sie, woda czerpali. A urodowite to było, a wesołe! Ruski triby w puszczy wycinał, by ich ułapić i nie udawało sie. Ale wiela zginęło, wiela zmarniało po więzieniach. Żeby byli jeszcze z pare miesięców trimali sie, toby na Ruskich skutek (koniec) priszed. Ale oni już sił nie mieli i wodza też zbrakło. I tak na zamrozki powstanie upadło. Tyla potem było, że pańczyzna znieśli, ale Ruski ostał i bizun ruski ostał.

Jacek kiwa głową i patrzy w puszczę na przeciwległym brzegu. Zachodzące słońce łuny rozpala po lesie.

— A dziś jak? Cieszycie się, że w wolnej Polsce żyjecie?

Stary myśli chwilę.

— Ta czasem ludzie narzekają trocha, że bieda, czasy ciężkie, ale — i tu twarz starca rozbłyska radością, a słowa nabierają mocy — za to dusza dziś wolna.

Patrzymy z rozrzewnieniem w twarz starego człowieka tak dziwnie pogodną po tych ostatnich słowach. Tak! on wie, co to wolność. Po przez kłopoty i troski codziennego dnia, on ją od-

czuwa, nią żyje, nią się cieszy. Czyż, aby to pojąć, trzeba było przejść mękę rosyjskiego knuta?

Żegnamy dziadka, ale trudno nam się z nim rozstać. Ta godzinna rozmowa zadzierzgnęła między nami węzły, których zerwać trudno. A i stary to czuje:

— Gwiazdeczki moje, kwiatuszki. a przyjdziecie jeszcze kiedy do dziadka?

Cóż mu odpowiedzieć? Jeszcze raz obejmujemy wzrokiem krzepką postać starca, by ją na długo zapamiętać. — Wracamy. Szerokim gościńcem wchodzimy w puszczę, spowitą już w mroki wieczoru. Trudno nawiązać rozmowę. Z lasu idą jakieś szumy ni to szepty ciche, ni nawoływania, jakby echa tego, co rozegrało się tu przed latami, co dowiodło, że w tych odległych ziemiach północnych, „kużdy pragnął Polszczy, jak dusza zbawienia".

Materiały zebrały *J. Kotówna* i *H. Misiałowska*.

JAK POWSTAŁ KLASZTOR KAMEDUŁÓW WE WSI WIGRY.

Ongiś, w miejscu, gdzie teraz jest Wigry szumieli wielkie, stare i bardzo ładne lasy.

Król litewski, Kazimierz często odwiedzał te strony polując na lwy, zajęcy, lisy. Raz, podczas takich łowów oddalił się od swej drużyny i zbłądził. Długo chodził po puszczy, podziwiając jej piękność. Albo i było co podziwiać. Ptaszeczki ślicznie spiewajo, kwiaty pachno, a orzechi, to jak te kurze jajka duże. Naraz, Jego Królewska Mość nadyszed na dwuch Litwinów, które tut pokutowali. Litwiny te dawno już ludzi nie widzieli, więc ujrzawszy człowieka, poczęli wołać: „wirej, wirej" (chłop). Kazimierz, na pamiątkę tego spotkania założył tut klasztor Kamendulów i sprowadził księży i zakonników. Kobiety jednak byli upośledzone i mogli przychodzić na mszo św. tylko dwa razy w roku: na Zielna i na święta Magdalena.

Osada została nazwana Wigry od „wirej".

OPOWIADANIE O JEZIORZE WIGRY.

W jeziorze Wigry znajdowała się wielka jama, z której nie można było wyłapać ani jednej ryby. Ludzie szukali najrozmaitszych środków. Aż raz, kiedy jezioro zamarzło, nad jamo to ułożyli stos chróstu, kamieni i podpalili. Lód stopniał, kamieni ogrzeli sie i gorące powpadali do jamy, wystraszając ryby. Aż niewody trzeszczeli, tyle złapano ryb.

Opowiadała Magdalena Tomaszewska z Gib, lat 82.

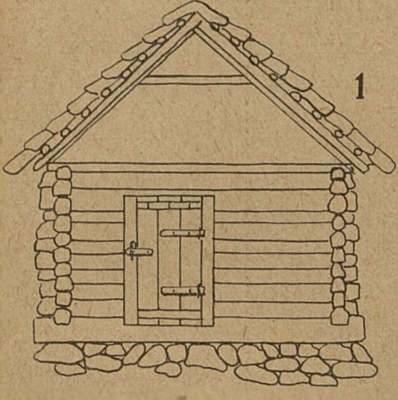
Opracowały: *Ela Glapińska* (Grajewo) i *Maria Żebrowska* (Lida).

ŁAZNIA W GIBACH SUWALSKICH.

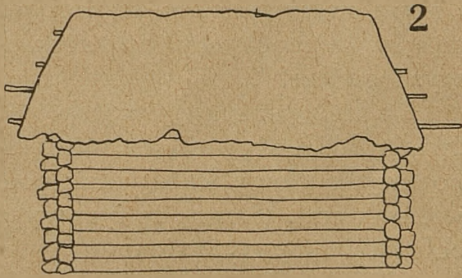
Widzieliście kiedy łaźnię na wsi? A wiecie co to jest? W zachodniej i pd. części Polski, tam zwłaszcza, gdzie mieszka rdzennie polska ludność, nie zobaczycie łaźni nigdzie. Ale ludność białoruska do dziś jeszcze używa łaźni o prastarej formie, powszechnej niegdyś na obszarze całej Europy. Taką łaźnię widziałyśmy w Gibach nad jeziorem Heret koło zagrody gospodarza Czarejki.

Oczywiście obejrzałyśmy ją dobrze ze wszystkich stron. Była to budowla drewniana, o ścianach z okrąglaków łączonych na węgieł, o wymiarach 3.80, 3.50, 2.10 m. Dach dwuspadkowy, wsparty na krokwiach, pokryty był snopkami wiązanymi po 4, kłosami w dół, tak że tworzyły powierzchnię gładką. Ot, taki mały, skromny budynek, bez okien, można przejść koło niego kilka razy i nie domyśleć się, do czego służy.

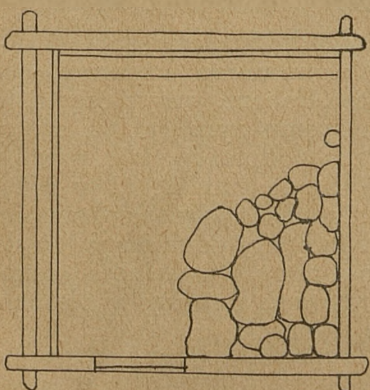
Ale my weszłyśmy do środka. Połączone to było z pewną przykrością, gdyż spora liczba małych stworzonek, porzuconych tu przez kąpiących się, groziła umieszczeniem się na naszych ubraniach. Ostrożnie jednak zajrzałyśmy. Na prawo od wejścia



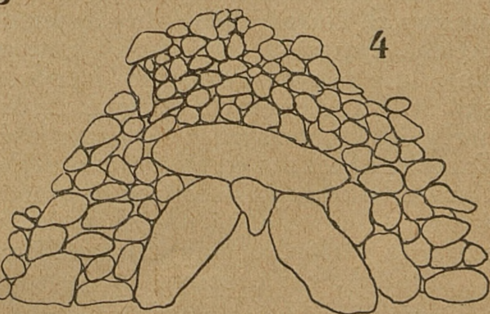
1



2



3



4

zobaczyłyśmy piec kamienny t. zw. „kamionkę“, bez komina (rys. 4). Dookoła ścian biegły ławy.

Objaśniono nas, że w łaźni tej myją się ludzie w soboty i przed większymi świętami. Mycie odbywa się w grupach po 12—15 osób, osobno mężczyźni, osobno kobiety i dzieci. W zimie, gdy więcej czasu, myją się co sobotę, w lecie co 2 lub 3 tygodnie. Oprócz mycia odbywa się tu także suszenie i tarcie lnu.

Mycie wygląda następująco: mężczyźni naniosą wody do drewnianych stągwi (naczynia o pojemności 8—10 wiader) i zamknąwszy drzwi łaźni, palą w piecu drzewem przyniesionym przez siebie. Ponieważ tworzy się dużo dymu, więc po napaleniu w piecu otwierają drzwi, aby dym wyszedł, lecz zaraz potem zamykają je. Polewają wodą kamionkę, aby była para („duch“), następnie wrzucają do stągwi kamienie rozpalone w piecu, aby się woda od nich zagrzała. Potem każdy bierze wodę ze stągwi do naczyń przyniesionych przez siebie, siada na ławce i myje się, mając wodę na kolanach.

Grzeją wody tyle, aby wystarczyło i dla mężczyzn myjących się najpierw i dla kobiet, które po nich przychodzą do łaźni. Niektórzy przynoszą nawet ciepłą wodę z domu w naczyniach i myją się w łaźni, bo w niej jest swobodniej i ciepło, a także mówią, że choćby był człowiek chory, to po umyciu się w łaźni wyzdrowieje.

W lecie zbierają brzozowe rózgi, wiążą je w pęczki zwane „wiennik“, a używają ich przez cały rok do bicia się. Mianowicie, po umyciu głowy, każdy idzie pod rózgi (po plecach bije go drugi wiennikiem). Wierzą, że tym wypędzają z siebie choroby. Po wychłostaniu się, myją się dalej.

Informowała: Emilia Rejmuntowiczowa, lat 67.
Opracowały: *Klejdyszówna Janina* (Kraków) i *Koczorowska Zofia* (Lwów).

W JAKI SPOSÓB „SIEJA“ ZNALAZŁA SIĘ W JEZIORZE WIGRY?

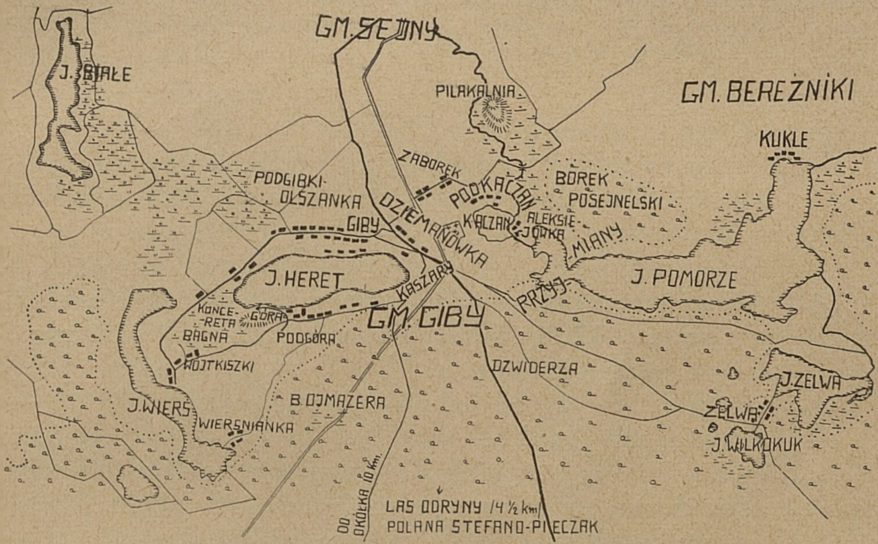
Raz, jeden ksiądz z klasztoru Kamendulów leżał sobie i odpoczywał. Naraz zachciało się jemu siei na obiad. Ledwo to pomyślał, zjawił się zły duch i powiada: „dobrze, przyniosę tobie sieja, ale pierw podpisz to, i podsunoł jemu cyrograf na byczy skórze. Ugoda staneła na tym, że ksiądz podpisał krwią własną, a zły duch zobowiązał się przynieść rybę na godzinę 12 w nocy. Zaraz też skoknoł on do Petersburga, a podczas jego nieobecności Kamendul napędził zegarek naprzód. Kiedy zły duch wrócił, było już po 12. Oszalały i wściekły, że dusza mu się wywinęła, cisnoł sieja do jeziorów, tłukąc przed tym zegarek i szyby w oknach. Odtąd sieja przebywa w jeziorze Wigrach.

Informowała M. Tomaszewska. Spisały *E. Glapińska* (Grajewo) i *M. Żebrowska* (Lida).

TOPONOMASTYKA LUDOWA.

Dowiedziałyśmy się na obozie, że istnieje nauka zwana geografią historyczną, która zajmuje się zbieraniem i ustalaniem nązw każdego niemal kawałka ziemi, aby tą drogą (obok innej: źródeł i map historycznych) dotrzeć do dawnych nazw i odkryć, jak wyglądała dawna mapa Polski, gdzie były lasy, gdzie łąki i bagna, a gdzie i kiedy zaczął gospodarować człowiek. Dowiedziałyśmy się, że zbierając nazwy ludowe wsi, pól, łąk, miedz itp. pomóc możemy pracy uczonych. Więc zbierałyśmy nazwy te skrzętnie w Gibach i okolicy Gib. Nazwy zebrane przeniosłyśmy na mapę i tu je podajemy.

Z. Durska (Poznań).



CIĄGNIEMY LUDZI ZA JĘZYK.

Według ustalonego na obozie porządku przypadła Ali i Zosi dziś w udziale praca w sekcji językowej. Przyjaciółki są mocno wzruszone. Wprawdzie na pogadankach lingwistycznych nasłuchały się wiele o tym, jak należy prowadzić wywiad, jakich błędów trzeba się wystrzegać, ale teoria i praktyka to dwa bardzo odległe pojęcia.

— Ala, błagam Cię, ty notuj, ja będę pytać — prosi Zosia.

— Acha! właśnie! żeby potem na mnie było, jak ty nie zręcznie zadasz pytanie! —

Jeszcze ostatni rzut oka w głębiny chlebaka, czy wszystkie „nieodzowne" kwestionariusze wzięte, leciuchny znak krzyża i wymarsz w teren.



Wywiad etnograficzny.

— Zocha! spójrz: brzegiem jeziora idzie jakaś kobieta z naręczem ziół. Możeby zrobić z nią wywiad?

— Doskonale!

Szaleńczy bieg naprzełaj i nasze lingwistki stoją oko w oko z wystraszoną nieco tą napaścią kobieciną.

— Gosposiu! gosposiu!

— A czego to paniutki?

— Myśmy chciały gosposię spytać... (Ala! wyciągnijże ten kwestionariusz od ziół)... myśmy chciały spytać... (Ala, guzdrało jedna!).

— Ta o co paniutki?

Ale Zosia już nie odpowiada; idzie w sukurs Ali, która wyrzuciła całą zawartość chlebaka na ziemię i robi gwałtowne poszukiwania za kwestionariuszem.

— Ja paniutki nie zdole czekać — ja nie czasowa!

— Gosposiu, chwileczkę!

I dziewczynki dalej zagłębiają się w sterty kartek, świstków, notatek. Nie obywa się przy tym bez sprzeczek. Wreszcie okazało się, że kwestionariusz leżał na „samiutkim" wierzchu. Uradowane krajoznawczynie zrywają się z ziemi, by zrobić prawidłowy wywiad, lecz z kobiety nie ma ani śladu.

— At! bo najgorsze takie przygodne spotkanie — pociesza Ala — chodźmy lepiej do jakiejś chaty — tam przynajmniej będzie można spokojnie wypytać o wszystko.

Przed domem ostatnie wzajemne przestrogi:

— Zocha! tylko pytaj mądrze.

— A ty notuj tak, by to nie było widoczne.

— Ale o co właściwie będziemy pytać?

— Zacznijmy od nazw części twarzy. To takie proste! Wszystko można pokazać palcem.

— Dobrze — a potem możemy zbadać nazwy pokrewieństwa. Nieśmiałe stuknięcie we drzwi i dziewczynki stoją na progu izby. Pod oknem siedzą dwie starsze kobiety i ze zdziwieniem

patrzą na swych gości. Zbieraczkom osobliwości polskiej gwary robi się dziwnie nieswojo; nie wiedzą od czego zacząć. Wreszcie Ala wypycha Zochę na środek izby, a ta z myślą „raz kozie śmierć“ podbiega do jednej z gospodyń i wskazując na nos pyta:

— Gosposiu, co to jest?

Gospodyni cofa się zdziwiona.

— E! coż wy paniutki?

Tu Ala przychodzi z pomocą.

— Nie bójcie się gosposiu, to nie żadne podatki... my tak do szkoły... uczymy się.

— Uczycie się? Do szkoły? — Gospodyni kręci głową z niedowierzaniem.

— No więc powiedzcie — moja złociutka — co to jest — ponawia pytanie Zosia.

— To je **nos.**

— Jenos? (Ala pisz „jenos“).

Ala wyciąga wielki notatnik i rozłożywszy go na plecach Zochy, by „nikt nie widział“, skwapliwie notuje.

— A to gosposiu, co to jest? — tu Zosia pokazuje na wargi.

— To je **łupy** paniutko! je łupy.

Odpowiedź ta nie podoba się drugiej gospodyni.

— Nie słuchajcie paniutki! tylko bałwany tak mówią, to przecie **wargi.**

Ale dziewczynki nie dają tym wywodom posłuchu. Forma „jełupy“ dużo bardziej przypada im do gustu. Któżby notował znane określenie wargi. Żadnej nie przychodzi nawet do głowy, że istnienie obok siebie dwóch określeń na oznaczenie tego samego pojęcia może być właśnie dla lingwisty ciekawe. Przecież mają zbierać osobliwości. — Dalsze pytania toczą się przyjętym na początku systemem i notatnik Ali wzbogaca się o określenia takie, jak „jełoko“, „jelico“, „jełysina“ (czoło). — Dziewczynki zadowolone z wyników nabierają zapału do dalszych badań.

— Gosposiu, a jak się nazywa mąż waszej córki?

— A Wojtek.

Wojtek?

Zocha wyczuwa, że tu nie jest coś w porządku; próbuje zdobyć właściwe określenie.

— No, a jak wy o nim mówicie.

— Jak zły, to mu powiem ty haładro, albo i zbereźniku, a jak dobry to — syneczku.

Orientuje się Zocha, że tą drogą nie dojdzie do porozumienia; zmienia więc metodę.

— Gosposiu, czy mąż waszej córki nazywa się zięć?
— A tak.
— A żona waszego syna — synowa?
— A tak.

Teraz pytania i odpowiedzi płyną gładko. Tym sposobem w przeciągu pięciu minut cały materiał językowy jest zebrany i zmęczone lingwistki wracają do obozu na drugie śniadanie.

* * *

Na marginesie tego wydarzenia muszę zaznaczyć, że nie wszystkie jednak wywiady były prowadzone taką „metodą“, to też inne nieco dawały wyniki. Po zestawieniu ich i ostatecznym sprawdzeniu doszłyśmy do ustalenia słownika Gib pewnych wycinkach. Okazało się wtedy, że nazwy pokrewieństwa, aczkolwiek niewiele odbiegające od znanych nam określeń mają swe ciekawostki; i tak **przebabka** to prababka, **przewnuczka** to prawnuczka, **pół syn** i **pół córka** to pasierb i pasierbica i analogicznie **pół brat** i **pół siostra** to brat i siostra przyrodni.

Z materiałów i instrukcji grupy językowej przepisały *Z. Węgrzynowiczówna* (Kraków) i *D. Grygielówna* (Wilno).

TECHNIKA WYWIADU.

„Wywiad“ to strasznie „ważne“, często przez krajoznawców wymawiane słowo. Na obozie słyszało się je ciągle. Po gimnastyce, modlitwie, śniadaniu i poważnej pogadance następował nie odmiennie „wywiad“ i . . . drugie śniadanie. Każda w tej porze dnia pod hasłem zdobywania nowych wiadomości odbywana czynność nosiła nazwę „wywiadu“, czy to było przeglądanie ksiąg rejestrowych w gminie (grupa historyczna), czy rysowanie tkanin lub narzędzi (grupa etnograficzna), czy też oznaczanie roślin według klucza (grupa przyrodnicza), czy wreszcie konsumowanie przy tej ostatniej czynności niesłychanej ilości borówek. Czy to były na prawdę „wywiady“? Chyba nikt nie musi się nawet zastanawiać, żeby powiedzieć, że nie. Prawdziwy wywiad rozpoczynał się wtedy dopiero, gdy chcąc dotrzeć do miejscowych ludowych nazw tkanin, narzędzi czy roślin, chcąc dowiedzieć się, kto i jak daną tkaninę wyrabia, lub wyrabiał dawniej, lub chcąc zebrać wśród ludu tradycje walk o niepodległość Polski, starały się uczestniczki obozu wejść w kontakt z mieszkańcami wsi, w której przebywały i z rozmów z nimi wyłuskać potrzebne im wiadomości.

O takich właśnie rozmowach chcę pisać. Na każdym bowiem kroku, na każdej wycieczce z grupą jakąś, obozem, drużyną czy Kołem krajoznawczym mnóstwo jest okazji do nawiązania takich rozmów. Tylko trzeba oczywiście wiedzieć jak się do tego zabrać. Widziałam różnych zapalonych krajoznawców w wieku 14—20 kilku lat życia, którzy szli na wycieczkę z du-

żym zapasem wiadomości z różnych dziedzin wiedzy i z planem uzupełnienia tych wiadomości jeszcze kilkoma nowymi szczegółami, przypuśćmy z dziedziny... ludowej wiary w życie pozagrobowe. Przychodził taki chłopak do chaty, babinie, patrzącej na nieznajomego przybysza z dużą dozą strachu, podawał uprzejmie rękę, przedstawiał się według wszelkich prawideł dobrego wychowania i zaraz potem pytał: „Co się z Panią stanie po śmierci?". Wynik — przez niego jak najmniej spodziewany — babina z krzykiem i płaczem uciekała z izby.

Inny przykład: w sieni chaty, przy otwartych na oścież drzwiach stoi sieczkarnia, wokół niej kilku ludzi zajętych pracą. Drogą przechodzi grupa gimnazjalistów. Jeden z nich, zaciekawiony nie widzianą dotąd „maszyną" przystanął i przyglądał się chwilę. Wieśniacy przyglądali mu się także i nikt nic nie mówił. Po chwili ciekawy „badacz" zagadnął o jakiś interesujący go szczegół konstrukcji. W dalszym ciągu jednak spotkał się z ciszą zupełną. Jak łatwo się domyśleć nie wybaczono mu złego wychowania i rozpoczęcia rozmowy bez uprzedniego powitania, w myśl obowiązujących zwyczajów. Słusznie! Czyż my nie czulibyśmy się dotknięci, gdyby nas ktoś zaczepił na ulicy, lub co gorsza jeszcze przyszedł do nas do domu, nie zdjął kapelusza, nie powiedział „dzień dobry", nie wytłumaczył kim jest i poco przychodzi, lecz spytał się nas np. o której godzinie wstajemy rano lub co pijemy zwykle na śniadanie. Pierwsza więc czynność, o której musimy pamiętać, to powitanie i to w tych wyrażone słowach, w jakich witać się zwykli mieszkańcy danej wsi. Bo trzeba pamiętać, że powitania są różne. Na Suwalszczyźnie „kacapi" (starowiercy) spotykając się z Polakami, mówią im „dzień dobry". Litwini zaś chwalą Boga w swoim języku, na co Polacy odpowiadają „na wieki wieków, amen". Inaczej witają się ludzie różni wiekiem i stanowiskiem, a inaczej młody starego i zamożnego gospodarza, którego nieraz nawet i kobiety całują w rękę. Ludzi przy pracy wita się najczęściej słowami „szczęść Boże". Trzeba pamiętać o tym i uważać dobrze, w jaki sposób się witać, aby swojego rozmówcy od razu nie zrazić. Bo przecież żeby móc się coś ciekawego dowiedzieć, trzeba pozyskać sobie zaufanie tego, z kim się rozmawia. To też tematem rozmowy po powitaniu nie może być odrazu ten, jakiś mniej lub więcej ważny szczegół, który był celem naszej rozmowy. Najpierw lepiej coś zagadać o pogodzie, o zbiorach, o „zdrowiu i powodzeniu", a potem dopiero, gdy nasz rozmówca sam się rozgada, gdy zacznie się wypytywać, co słychać w mieście, gdy się go już objaśni, że dowiadujemy się różnych rzeczy i oglądamy je, bo to nam potrzebne do szkoły, bo się w ten sposób uczymy, bo u nas w mieście tego zupełnie nie znają, możemy zacząć kierować rozmowę na to, co nas najbardziej interesuje i zadawać kolejno te wszystkie pytania, które mamy już z góry w tym celu przygotowane i spisane. Ale oczywiście do notesu lepiej nie zaglądać, trzeba więc dobrze wiedzieć na pamięć, o co mamy zamiar się pytać. I pytać mądrze, tak aby pytany dobrze rozumiał, o co nam chodzi i na to właśnie od-

powiadał. Nie zaszkodzi nieraz dwa razy, w różnych oczywiście słowach pytać się o to samo, żeby w ten sposób skonstrolować pierwszą odpowiedź. Ale broń Boże nie niecierpliwić się i nie ułatwiać odpowiedzi przez podpowiadanie słowa, które spodziewamy się usłyszeć, bo taki wywiad nic nie wart! Jeśli nasz rozmówca jest w dalszym ciągu nie ufny, lepiej notować tak, aby tego nie widział. A notować wiernie, nie przekręcając słów i powiedzeń!

Oczywiście inaczej notować trzeba wiadomości historyczne, inaczej językowe, ale tego już dzisiaj tłumaczyć nie będę. *A. K.*



SPRAWOZDANIA.

OPOWIADAMY O SWEJ PRACY.

Celem Obozu w Gibach było:

1. Rozbudzić zainteresowanie we wszystkich dziedzinach krajoznawstwa.
2. Nauczyć samodzielnej pracy w terenie.
3. Przygotować do prowadzenia pracy w Kole.
4. Zapoznać z organizacją wycieczek.
5. Poznać Ziemię Augustowską i Suwalską. Poznać życie i stosunki na wsi, zrozumieć rolę kulturalną, historyczną i gospodarczą tej części Polski.
6. Zebrać materiały do opracowania monograficznego wsi.

W obozie trwającym od 4 do 26 lipca wzięło udział 29 uczenic z następujących ośrodków: *Kraków*, P. Gim. VII — 3 (M. Kornaszewska, F. Płatek, E. Pontes), P. Gimn. X — 5 (E. Buczak, J. Klejdysz, J. Klimczak, A. Solarska, Z. Węgrzynowicz), Gimn. im. św. Rodziny — 2 (J. Kotówna, H. Misiałowska); *Wilno*, Gimn. im. Czartoryskiego (D. Grygiel), Gimn. im. E. Orzeszkowej (J. Jaroszewicz), Gimn. SS. Nazaretanek (Z. Buyko); *Poznań*, Gimn. im. Gen. Zamojskiej — 2 (A. Dedio, Z. Durska); *Olkusz* (M. Kajdówna, M. Knapikówna); *St. Sącz*, Gimn. (M. Gondkówna, J. Waligórówna); *Przemyśl* (J. Konopnicka, L. Leszczyńska); *Wadowice*, Gimn. ż. (S, Poznecka); *Lwów* (Z. Koczorowska); *Krzemieniec*, Liceum (J. Wyszyńska); *Łuków*, Gimn. (J. Rzymowska); *Białystok*, Gimn. (L. Jagintowicz); *Grajewo*, Gimn. koed. (E. Glapińska); *Lida*, Gimn. (M. Żebrowska); *Chojnice*, M. Gimn. ż. (Z. Łońska).

Uczestniczki Obozu, pragnące uzyskać stopień instruktorski przeczytały przed Obozem, czy też w czasie jego trwania (biblioteczka była w ruchu) kilka obowiązkowych książek krajoznawczych. Po ukończeniu Obozu wszystkie otrzymały stopień instruktorski.

Pracę prowadziły jako prelegentki: Mgr Aniela Kluzekówna (Kraków) — przyroda i ochrona przyrody. Mgr Helena Kluzekówna, naucz. gimn. (Kra-

ków) — gwara, pieśni ludowe, Mgr Anna Kutrzebianka, asyst. U. J. (Kraków) — historia, prehistoria, osadnictwo, Mgr Jadwiga Klimaszewska, asyst. U. S. B. (Wilno) — etnografia, geografia, kierownictwo Obozu. Poza tym w administracji pomagała Ł. Mazurkiewicz, słuch. U. J. (Kraków).

Obozowniczki zostały podzielone na grupy w ten sposób, że codziennie pracowały w innej grupie. A więc te, które w jednym dniu oznaczały i suszyły rośliny pod kierunkiem p. Kluzekówny, w następnym zajęły się opisem chaty itd.

Cała praca odbywała się przeważnie w terenie, na wywiadach. Każda z pań prelegentek miała tylko 2 godziny podczas całego Obozu na wykład teoretyczny, w którym zaznajomiła uczestniczki z celem i metodami pracy w swej dziedzinie, podała najważniejszą literaturę oraz szerzej omówiła tematy, nadające się do opracowania przez Koła krajoznawcze.

Wieczory zostały poświęcone na wspólne omawianie pracy w Kołach krajoznawczych oraz sprawozdania z zajęć obozowych.

Wiele jednakże tych wieczorów pochłonęło przygotowywanie i urządzanie ognisk dla mieszkańców Gib, na których to ogniskach m. i. zaznajamiały obozowniczki zebranych gości z pieśniami i tańcami swych okolic. Ogniska te, jak również serdeczne i szczere odnoszenie się do wieśniaków w czasie wywiadów, poważne zajęcie się ich życiem, ich mową, zwyczajem itd. wywołało w ich sercach wzajemną sympatię. To też w dzień odjazdu, w ostatniej chwili jeszcze nie tylko dziewczynki ze smutkiem żegnały Giby i swych znajomych informatorów, ale i one były również z żalem żegnane.

Że atmosfera na Obozie była tak miła i pogodna, że praca szła składnie, żywo i wesoło, że uczestniczki dużo na nim skorzystały tak pod względem wyrobienia wewnętrznego jak i pod względem naukowym, poznały szmat ziemi, zebrały wiele ciekawych materiałów, to jest zasługą przede wszystkim samych obozowniczek, które z ogromnym zapałem i zainteresowaniem zabrały się do roboty, które naprawdę chciały się czegoś nowego dowiedzieć, odkryć i z całym zaufaniem zwracały się do pań prelegentek, zamiłowanych w swych przedmiotach i z równym oddaniem wprowadzających dziewczynki w tajniki swej wiedzy, wodząc je po lasach i chatach jak i grających z nimi w siatkówkę w czasie wolnym od zajęć.

Praca ta jednak o wiele byłaby żmudniejsza i trudniejsza, gdyby nie życzliwa pomoc wielu osób. Szczególną naszą wdzięczność i podziękowanie należy się Przewielebnemu Ks. Kanonikowi Stanisławowi Wierzbowskiemu i Ks. dr Kłapkowskiemu, Pp.: Pułkownikowi Janowi Wójcikowi, dowódcy K. O. P. w Sejnach, Janowi Wojtychowi prof. w Sejnach, Kapitanowi Michałowi Fijałkowi, Kierownikom A. Żegarskim i Miśkielom w Gibach.

Dwie dalsze wycieczki zapoznały nas z Augustowskim i Suwalszczyzną, a to: jednodniowa wycieczka nad jezioro Wigry (kościół, stacja hydrol.), trzydniowa w Augustowskie (jezioro Serwy, krypą przez Kanał Augustowski i jeziora: Białe, Studzieniczne i Mocko do Augustowa i powrót przez puszczę Augustowską do Gib). *J. K.*

Gimnastyka poranna przed szkołą w Gibach



Dziesięć minut dla zdrowia zaszkodzić nie może

SZKOLNE OSIEDLA ZIMOWE W MIEJSKIM DOMU WYCIECZKOWYM W KRAKOWIE.

Na odbytej we wrześniu 1935 r. w Krakowie międzynarodowej konferencji w sprawie szkolnych schronisk wycieczkowych padło po raz pierwszy hasło urzeczywistnienia t. zw. Szkolnych Osiedli Zimowych. Trudności w zakwaterowaniu licznych wycieczek i pielgrzymek, zdążających do Krypty św. Leonarda i na Sowiniec, nie pozwoliły na natychmiastowe zajęcie się tym zagadnieniem. Skoro jednak ruch zmalał pomysł Osiedli, dzięki życzliwemu ustosunkowaniu się do niego Zarządu miejskiego w Krakowie, w szczególności zaś P. Wiceprezydenta miasta Dra Stanisława Klimeckiego, tudzież Kuratorium O. S. Krakowskiego, przybierać zaczął realne kształty.

Wiadomo, jak trudną jest praca szkolna w małym mieście prowincjonalnym, gdzie nie ma zbiorów pomocniczych, nauka zaś z konieczności musi się zazwyczaj ograniczać do omówienia materiału z podręcznika.

Kraków to miasto świetnych tradycyj naukowych, siedziba prastarej Almae Matris Jagellonicae i Polskiej Akademii Umiejętności, najwyższej w Polsce instancji naukowej. W Krakowie odbywały się najważniejsze zdarzenia dziejów narodu polskiego, tu ostały się pomniki naszej przeszłości, stworzone i zgromadzone pracą pokoleń w ciągu wieków.

Czym będą szkolne Osiedla Zimowe?

Młodzież jakiejkolwiek klasy, przybywająca do Krakowa na cały tydzień, odbywać tu będzie swe normalne zajęcia szkolne, z uwzględnieniem tych przedmiotów, które w Krakowie posiadają większą ilość materiałów pomocniczych (historia, historia sztuki, przyroda, fizyka, geografia, geologia).

Celem umożliwienia młodzieży bądź co bądź kosztownego tygodniowego pobytu poza domem wdrożono starania o uzyskanie możliwych ulg i zniżek.

Akademia Umiejętności przyznała uczestnikom osiedli bezpłatne wstępy do Muzeów Fizjograficznego i Prehistorycznego, Rektorat Uniwersytetu Jagiellońskiego zezwolił na bezpłatne zwiedzenie gmachu Collegium Novum i Auli. Wniesiono również prośby o zniżki na zwiedzanie Katedry i Zamku Królewskiego na Wawelu, Ołtarza Wita Stwosza w Kościele N. M. P. oraz Żup Solnych w Wieliczce. Podobnie kinoteatry krakowskie przychylnie ustosunkowały się do prośby o zniżki opłat. Ponadto Zarząd miejski w Krakowie bada szczegółowo sprawę obniżenia opłat za noclegi w M. Domu Wycieczkowym, wstępów do Muzeum Narodowego i na Wieżę Mariacką, zniżek tramwajowych i do Teatru Miejskiego im. J. Słowackiego.

Zorganizowana na zlecenie Kuratorium O. S. Krakowskiego komisja, której większość stanowią nauczyciele szkół średnich, opracuje w najbliższym czasie szczegółowy program Osiedli.

Zbierajcie zatem fundusze na przyjazd do Krakowa. *S. J.*

KONKURS NA FOTOGRAFIE.

Muzeum Etnograficzne im. S. Udzieli ogłasza konkurs na fotografie przedstawiające jeden z następujących tematów: obrzęd, zwyczaj ludowy, grę, zabawę ludową, rzeźbę ludową lub zajęcia rolnicze. Format odbitki wykonanej na papierze białym i błyszczącym — co najmniej 9×12. Na odwrociu fotografii musi być podany: temat zdjęcia, miejscowość (w której zdjęcie wykonano), imię i nazwisko autora oraz data fotografowania. Termin nadsyłania zdjęć — do 30. IX. 1938. Za najlepsze zdjęcia wyznaczone są dwie I. nagrody po 25 zł i dwie II. w postaci książek. Wszystkie fotografie nadesłane na konkurs stają się własnością Muzeum Etnograficznego. Do konkursu stanąć może tylko młodzież prenumerująca „Orli Lot". Przesyłki z dopiskiem „Konkurs fotograficzny" adresować do Redakcji „Orlego Lotu".

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: prof. Leopold Węgrzynowicz. Komitet redakcyjny: Dr Tadeusz Seweryn (przewodniczący), Czesław Blajda, Dr Marian Gotkiewicz, Mgr Anna Kutrzebianka, Dr Rodion Mochnacki, Dr Irena Ormicka, Leon Pietrzykowski, Mgr Roman Reinfuss, Kazimierz Staszewski.

Adres Redakcji: Leopold Węgrzynowicz, Kraków, Oleandry 4, II. p.

Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Cena numeru 30 gr, prenumerata roczna 3 zł.

Drukarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, ul. Barska 41.

DRUKARNIA „ORBIS" KRAKÓW